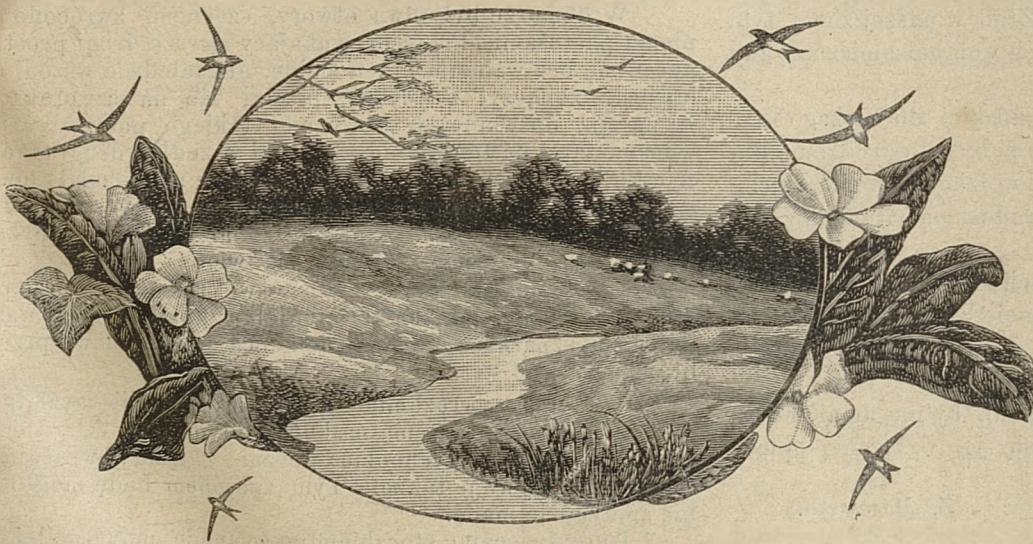




WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

S W X Y Z A B C D E F G H I J K L M N O P Q R S T U V W X Y Z



A za nimi mężowie w wieńcach z bylicy i starcy z kobzą lub gęślą, a dalej niewiasty w białych namitkach, otoczonych zielenią z borówek.

A każdy stary czy młody, niewiasty czy mężowie niosą zielone gałązki brzeziny, śpiewając pieśń o słońcu i wiosnie, a za każdą zwrotką brzmi przyspiewek:

„Diwa, Diwa, Diwa!

I że wszech stron zebrało się ludu koło granicznego kamienia. Przyszli z północy i południa, od słonka wschodu i ztamtąd gdzie gwiazda niebieska chyli się za

skłon nieba do nocnego spoczynku.

Pieśń rozbrzmiewa dokoła, powiewają zielone gałązki młodej brzeziny, tam w górze świegocą ptaszęta, a bocian hen przy chacie na wysokiej topoli stoi na gnieździe, wołając:

— Kekelekot, kelekot, lekot!

Aż słonko stanęło nad głowami i żarem swoim dogrzewa.

Czas południowego odpoczynku.

Więc niewiasty wyjmują z kobiałek chleby i sery, z miodu i maku tłuczenie, ba, i resztki suszonych jagód niejedna zamożna gospodyni przyniosła.

Znalazły się i pęcherze z kwasem, a i miodu syconego nie zbrakło.

Niewiasty rozkładają przysmaki, dziewczęta im dopomagają, mężowie zasiedli na wzgórzu, zaślaniając się zielonymi gałęziami, starcy brząkają w gęśle, a młodzież przytupując, wtórnie na wierzbowej fujarce.

Gdy słońce złocistymi promieniami coraz to więcej dogrzewało, a ruń kołysała się bujną trawą, wtedy Słowianie, wypędziwszy dobytek na zieloną paszę, obchodzili uroczyste święto Diwy, bogini siewu i wiosny, czyli święto zielone.

Drzwi chaty kolkiem podparto, postawiono na straży dwie świeżo rozwite brzozy i każdy szedł z pieśnią na ustach i nadzieją w duszy do granicznego kamienia.

Bo i jak się nie cieszyć! Dni długiej zimy dawno minęły, słotna wiosna skryła się pod czarną ziemię, a słonko w całej swej potędze zapanowało nad światem ..

I jakże się nie cieszyć?

Białe i żółte kwiecie pokryły łąki, a wśród lasów, ni ziutko, lila dzwonki chyla swe główki, a w gęstwinie ptaszę świegoce. I plonu nadzieja ze słonkiem, a w duszy choć tęskno lecz jakoś radośnie.

Więc idą wesołe dziewczęta w wieńcach z konwalii, idzie młódź różna, przygrywając na wierzbowej fujarce.

— Pokosztujcież, sąsiado, naszego pieczywa — mówi jedna z gospodyń.

— Posmakujcie też, czy ser u nas jest takiż, jako i waszego wyrobu — zaprasza sąsiadka.

— Co tam, wychylicie kubek naszego miodu, toć u nas pszczoły w barciach się uwijają, odpędzając nie-dźwiedzia! — zapraszają mężowie.

— Nie gardźcie też owocem, toć słuszna, żebyśmy się na czas Diwy czem kto ma, dzielił! --- dodają inni.

I tak wszyscy, przybyli do granicznego kamienia, razem się weselą i ucztę na cześć Diwy sprawiają.

A młodzież przygrywa, a dziewczęta przyśpiewują, aż oto ujawszy się za ręce, zataczają koło, puszczają się w tany, pokrzykując co chwila:

„Święta zielone, zielone,
Diwo, Diwo, Diwo!”

Lecz słońko chyli się za skłon nieba.

Starcy dają hasło do rozejścia.

— Za rok, za rok! — wołają, rozchodząc się każdy w swą stronę.

A idąc po drodze zatykają zielonej brzozy gałązki, znacząc tak drogę aż ku swojej chacie.

A jeżeli Diwa zadowolona z wyprawionego na jej cześć święta, odrośle się przyjmują, wyrastając w smągłe o zwieszonych gałęziach brzozy. Ztąd w naszej ziemi tyle gajów brzeziniowych, roztaczających woń balsamiczną, gdy słońko wiosenne świat ten ogrzeje.

A gdy światło wiary chrześcijańskiej do naszego kraju wnikać poczęło, lud bezwiednie połączył odrodzenie ducha z odrodzeniem się roślinności i w dzień Zesłania Ducha Świętego na Apostołów obchodzi radosnem witanem zieleność i wiosnę.

Po nabożeństwie zaś i pieniach radosnych w kościele, biegnie na błonia i do lasu, by nacieszyć się odmłodzoną przyrodą, nabrać sił i zdrowia do dalszych trudów i znoju, jakie każdego czekają.

I każdy przynosi gałązkę zieleni, by nią umaić obraz Najświętszej Dziewicy i polecić się jej wyłącznej opiece i obronie.

Z. Morawska.

Zofia Urbanowska.

ROZA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Obejrzał się dokoła i, ogarniając wzrokiem całość komory, rzekł:

— Wspaniała komnata! można by w niej bal urządzić na kilkadziesiąt par. A musi tu być takich więcej! I pomyśleć, że to wszystko potworzyła woda... nie ów potok co biegnąc w szalonym pędzie z szumem wielkim, wszystko po drodze niszczy i łamie, ale drobne, ciche, zaledwie widoczne dla oka kropelki wody! One to biorą się za bary ze skałą i powoli zwyciężają ją. Wsiąkają w nią małemi, nieznacznemi

otworkami, podobnemi do nakłócia szpilek, i litego, niewruszonego na pozór olbrzyma, zamieniają w porowatą gąbkę... Przenikają coraz głębiej, głębiej, korzystają z każdej napotkanej w jego wnętrzu szpary lub szczeliny, żeby ułatwić sobie pracę mechaniczną. Mądry, rozważny człowiek nie wzięłyby się lepiej do rzeczy! Krople wydłużają się, rosną, nie spadają już, ale ciekną cienkimi nitczkami zmieniającymi się w strumienie, przenikają pokłady skał, kruszą je, niszczą i zwiększając coraz bardziej swe podziemne przypiły, tworzą we wnętrzu ziemi takie, jak ta oto, pieczary i grotty. Bo strumień musi dążyć kędyś siłą swej ciężkości, a biegnąc unosi z sobą cząsteczki skały, którą wydrążył. O, ileż ludzie nauczyć się mogą od jednej kropli wody! Taka mała, a przecież góry z miejsca na miejsce przenosi! Bóg wielkich dzieł swoich małemi często dokonywa środkami.

Duża kropla ze sklepienia spadła mu na rękę, i to przerwało jego zadumę. Szleść spadających kropli ciągle było słychać, ale Strand zauważył, że między jedną a drugą upływała dość długa chwila. Wyjął zegarek i rachował.

— Pięć minut — rzekł, gdy nowa kropla spadła — to dość prędko. Czasem bywa, że między jedną a drugą upływa kilkanaście minut, tak wolno przecieka woda, a wtedy do wytworzenia sopleńca długiego na kilka metrów, trzeba kilkanaście tysięcy lat. Wiek tych tu wsiadających u góry sopleńców, mógłbym w przybliżeniu obrać, omyliwszy się co najwyżej o jaki tysiąc lat. W wieku świata, to drobnostka... W każdym razie nie doczekam się, aby sopleńce te urosły przy mnie w stalaktyty. Pójdę dalej.

W komorze były dwa otwory, czarnemi zwrócone ku niemu paszczami. Profesor szukający zawsze drogi prostej, puścił się bez wahania przed siebie, ale zaledwie wszedł do otworu, zobaczył że będzie musiał iść na czworakach. A że już doświadczył niewygody takiego podróżowania, więc odstąpił na ten raz od zasady i wszedł w drugi otwór. Ale ten tak samo był niski, więc rad nie rad musiał znowu się zcołać. Przebywszy tak kilkanaście metrów ze stoczkim ciągle posuwany naprzód, zobaczył ścianę zamykającą dalsze przejście. Cofnął się więc i doszedłszy do miejsca, gdzie przeniewierzył się swej zasadzie kroczenia zawsze prostą drogą, znalazł niewielką komorę, z kądem wąską ciasną szparką doszedłszy do końca, stanął znowu przed litą skałą.

— Zaczynam rozumieć plan tych podziemi — myślał: — jest pień główny z dwiema na końcu odnogami. Ale z pnia głównego muszą wychodzić boczne gałęzie: wracajmy zatem i zbadajmy je także. Tym sposobem będę mógł sobie sporządzić mapę.

I przyświecając stoczkim po ścianach, mówił dalej.

— Ale warto było tu przyjść: co za obfitość kamiennego mleka, jaki fantastyczny rysunek! Przypomina mi to ściany Alhambry, gdzie jedna rzeźba przykrywa drugą, jakby delikatną siatką. Wprawdzie to szkic dopiero, który wieki następne cieniować i wykonywać będą, ale i ten szkic już jest prześliczny i bogaty. Czemu tu niema! Arabeski zachodzą jedne na drugie, linie łączą się lub rozdzielają, a wśród nich zwoje liści, tajemnicze hieroglify, lub kwiaty, nieistniejące na kuli ziemskiej. A jaka niepokalana białość! śnać światło pochodni jeszcze tu nie zajrzało.

I raz jeszcze podniósłszy rękę ze stoczkim w górę, rzucił ostatnie spojrzenie i zawrócił się. Na zakręcie potknął się o kamień i spostrzegł na ziemi skrawek błękitu. Zdziwiony schylił się i podniósł go: była to wstążka atlasowa, na widok której wzruszył ramionami.

— Chodziła tu dziś widać jakaś kobieta! Co to za wścibskie stworzenia! w najciaśniejszą dziurę to wleźć musi. I tem bardziej się pchają im dziura ciałniejsza; to już taka natura!

Wstrząsnął się z obrzydzeniem i machinalnie włożył wstążkę do kieszeni.

Idąc głównym pniem podziemia, był już jak u siebie,

poznając miejsca niedawno przebywane. Zbadał parę bocznych odnóg i doszedł do punktu, gdzie korytarz zalał się pod kątem prostym.

— Aha — pomyślał — jestem już blisko naszej sypialni: moi towarzysze pewnie w tej chwili się przewracają na drugi bok.

Był bardzo znużony i z przyjemnością myślał o posłaniu dobrowolnie opuszczonem. Spojrzał na zegarek: była już dwunasta.

— No — pomyślał — dość długo się zabawiłem.

Ale korytarz, którym szedł, jakoś się nie kończył. Profesorowi wydało się, że gdy go poprzednio przebywał, znacznie był krótszy.

— Widocznie jestem bardzo znużony, i dla tego wydaje mi się teraz tak długim, ale za pięć minut powinienem już być na miejscu. A ot, nareszcie! Ale co to jest? słyszę szmer podziemnego strumienia którego nie słyszałem wychodząc ztąd. Czyżby w czasie tych dwóch godzin woda przerwała jaką szczylinę? To byłoby ciekawe!

Wszedł do sypialni i zwrócił się odrazu na prawo w stronę swego posłania, ale go na miejscu nie znalazł. W rogu komnaty, gdzie niedawno leżało świeże pachnące siano okryte kocem, leżał teraz duży głaz. Zdziwiony, szukał dalej przysłaniając ręką światło, ale ani posłania, ani towarzyszy nie znalazł. Co to jest? Czyżby opuścili grocie? A może tylko przenieśli się w inny kąt, w jakieś zagłębienie? Może im było zbyt zimno i przysunęli się do okna. Ale okno zniknęło! Zatem... zatem chyba zabłądził w tych podziemiach i zamiast do sypialni wszedł do innej komory. Był sam, tylko strumień dotrzymywał mu towarzystwa, szemrząc po dawnemu, jedyny odgłos życia w tej pustce.

Profesorowi zrobiło się gorąco pomimo chłodu, panującego w grocie. Uczuwał mocne strudzenie i nogi już odmawiały mu posłuszeństwa, a spoczynek do którego wzdychał, oddalił się znowu od niego. Komora była obszerna, wysoka; po obu stronach miała jakieś ganki i zagłębienia. Usiłował się zorientować, jak się to stało że pobłądził i w którym mianowicie miejscu wszedł na mylną drogę. Aż do załamania korytarza pod kątem prostym, powrót był prawidłowy... Ach! przypomnia sobie teraz, że nie widział nigdzie okna, czyli otworu zasłoniętego skrzela głazu. Zatem nie dochodząc do niego zrobił wycieczkę w bok i tam powinien wrócić, bo zresztą ztamtąd naprawdę jest już tylko kilkanaście kroków do sypialni. A może wtedy zmylił drogę gdy się potknął i znalazł wstążkę? Gdyby był zamiast schylać się i podnosić, kopnął ją nogą, może już teraz zabierałby się do wygodnego spoczynku. Nie pierwszy to raz kobieta dokuczyla mu do żywego. Ale ciekawa rzecz w jakim też położeniu do doliny znajduje się ta komora. Strumień siłą spadku dąży do strumienia płynącego środkiem doliny, a po kierunku płomienia i po ruchu powietrza wnosił, że w górze są kominy które można wydstać się na świat, gdyby było po czem — choć jeżeli one wiodły na inną stronę góry, możnaby zejść do innej doliny, zamiast do Kościeliskiej i byłby kłopot z odszukaniem towarzyszy.

Usiadł na kamieniu i wyjąwszy notatnik usiłował narysować plan grotu, tak jak go sobie wyobrażał, a rysując zastanawiał się, dla czego nie trafił nigdzie na wapień półkrystaliczny, ani na pokłady piaskowca.

Odpocząwszy, schował notatnik i zabrał się do odwrotu, ale zaledwie postąpił kilka kroków, nierówność zniżającego się nagle gruntu, czego poprzednio nie zauważył, spowodowała poślizgnięcie; upadł, upuszczając stoczek, który zetknąwszy się z mokrym gruntem, zgasł. Ogarnęła go zupełna ciemność. Podniósł się i zaczął po omacku szukać stoczka, a znalazłszy nie bez trudności między odłamami kamieni, sięgnął do kieszeni kamizelki po zapalnik, ale zapalnik nie było. Obszukał wszystkie kieszenie nadaremnie i przypomniał sobie dopiero, że ich nie wziął z sobą, a stoczek zapalił woskowymi zapalnikami Warburtona i pudełko napowrót przy nim położył.

Pot wystąpił mu na czoło: będzie musiał wracać po

omacku, z wyciągniętymi naprzód rękami, i kto wie czy nie natrafi na jaką dziurę. Żeby choć ciupagę miał z sobą! ale cóż, wiecznie roztargniony profesor Strand zgubił ją w podziemiach, nawet nie mógł sobie przypomnieć gdzie — najpewniej tam, gdzie był zmuszony czolgać się na czworakach.

— Ha, cóż robić! — szepnął zrezygnowany — może ją jeszcze znajdzie.

Wyciągniętą ręką poszukał ściany i trzymając się jej stąpił ostrożnie, ale musiał wkrótce schylić głowę. Zabłądził znowu: Zamiast szerokiego korytarza którym wszedł do tej odnogi, wstąpił w wąską jakąś, ciasną szparę. Powrócił więc do komory i namacawszy inny otwór, znowu się weń zapuścił. Ale i tu spostrzegł wkrótce, że to nie jest korytarz, którego szukał: przejście było wąskie i ciasne, a nizkość sklepienia wymagała trzymania się ciągle w pochylonej postawie. Profesor zawrócił po raz trzeci, a różne niepokojące myśli zaczęły mu się snuć po głowie — między innymi, co będzie, jeżeli nie wydotanie się z tego labiryntu, ale natychmiast uspokoiła go myśl, że towarzysze go odnajdą. Pocieszał się jednak nadzieją, że sam do nich trafi. Nagle spostrzegł że nie słyszy już głosu strumienia, że przeto musiał oddalić się od komory, z której rozchodziły się trzy boczne korytarze i mniemając że do niej idzie, wszedł w jakąś inną odnogę, z której już sam nie wiedział w jaką zwrócić się stronę, w tył czy naprzód. Oddalił się widocznie od strumienia i szedł w kierunku grzbietu gór.

Uczuł takie zniechęcenie i wyczerpanie, że aż musiał oprzeć się o ścianę, bo w głowie mu się kręciło. Gdyby choć strumień z nim pozostał, strumień którego odgłos rzeźwiący, miły, był objawem jakiegoś ruchu, jakiegoś życia, byłoby mu raźniej i weselej. Co robić! Trzeba powziąć jakieś postanowienie: zatem powróci do swej zasady trzymania się drogi prostej i będzie szedł przed siebie. Może odnoga ta szczęśliwszym trafem wywiedzie go ztąd — a jeżeli nie, zawróci się i trzymając lewej strony ściany, obejdzie wszystkie próżne odnogi — a nie pomijając żadnej, musi nareszcie odnaleźć komorę i korytarz wychodzący z głównego pnia.

— Czy nie lepiej byłoby zawołać o pomoc? — pomyślał. — Grota ma swoją akustyczność; głos dojdzie do śpiących towarzyszy i zaraz przyjdą tu ze światłem.

Już chciał wołać, ale wstyd go powstrzymał. Obawiał się żartów doktora i postanowił tylko w ostatecznym razie uciec się do tego środka.

I rozpoczęła się wędrówka w ciemności, po omacku, na nogach i na kolanach, z zawracaniem i kołowaniem, z góry na dół i z dołu pod górę; wędrówka bez końca w której odnalazłszy komorę i upuszczony tam notatnik i ołówki, zgubił je na nowo, a znalazł natomiast ciupagę. Jak długo trwała, nie wiedział, ale wydało mu się że tym sposobem uszedł kilka kilometrów drogi. O, gdyby miał zapalnik! Nareszcie osłabiony, wyczerpany, zaczął wołać o pomoc, ale echo wracające doń kilkakrotnie, nie sprowadziło mu pomocy — a to co z jego brzmienia mógł wnieść o rozległości pieczar, nie miało w sobie nic pocieszającego. Był sam jeden w pustce, w ciemności, tylko zegarek szeptał mu ciągle: tik-tak, tik-tak.

Nagle straszny huk wstrząsnął podziemia. Profesor pomyślał sobie, że pewnie jakiś wielki odłam skały spadł w pobliżu i zatarasował wyjście. Może żywcem został pogrzebany i towarzysze nie odnajdą go, a on sam nie zdobędzie już Brachiopoda, i nie ukończy dzieła nad którym pracuje od lat kilku. Cały jego trud, wszystkie materyały, owoce licznych badań i poszukiwań, stracone zostaną dla nauki! To go więcej przeraziło niż widmo śmierci. I pomyśleć, że to wszystko przez głupią wstążkę! Co to za czcze, bezmyślne istoty te kobiety! Po co to obwieszają gałgankami?

Uczony profesor nie domyślał się nawet, że taki gałgan w roztargnieniu włożył do kieszeni.

Poczucie niebezpieczeństwa wzmogło jego siły: uczuł

na twarzy świeży powiew wiatru i śmiało zapuścił się w otwór, który obie jego wyciągnięte ręce namacały i z kądem wiał zbawczy prąd. Czuł takie pragnienie, że język niemal przysychł mu do podniebienia. Przybliżył twarz do ściany i chwycił spieczonemi wargami krople wilgoci, spływające po skale. Powiew był coraz silniejszy, a na końcu korytarza pobłyskiwało coś, jakby światełko. Rzucił się ku temu zbawczemu światłu i uderzył głową o sklepienie, znowu tutaj zniżające się. Czołgał się więc ku niemu na czworakach i domyślił się, że to jest promień księżycy ślizgający się po ścianie. Tu więc gdzieś blisko musi być otwór, kędy możnaby wydostać się na świat...

Nagle powstrzymał oddech: usłyszał ruch jakiś w pobliżu i szelest wielce podejrzany. Przysunął się do ściany, nie śmiejąc się poruszyć, a pot kroplami spływał mu po twarzy i serce biło jak młotem. Poczul dotknięcie czegoś miękiego, i ciepły oddech owiewający twarz jego. Straszna myśl przebiegła mu przez głowę i stracił przytomność.

(d. c. n.)

Z Wystawy Paryskiej.

II.

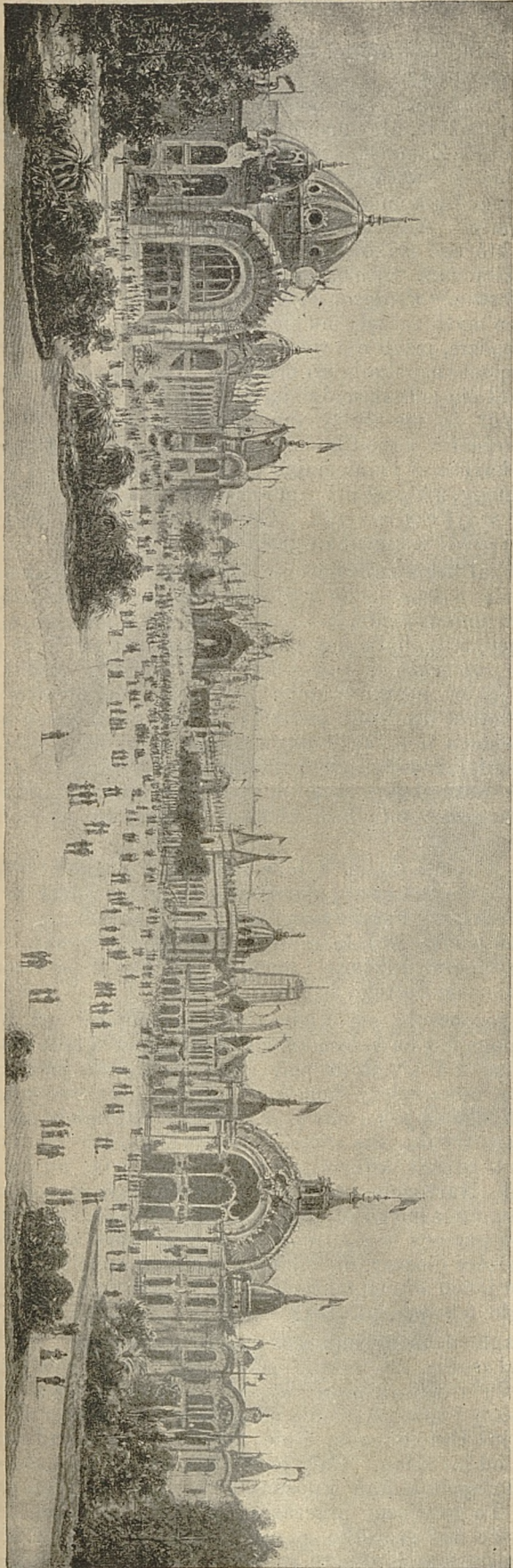
W dzisiejszym numerze podaję wam dwa ogólne widoki i bilet wejścia na wystawę paryską, przy tej sposobności skreślę w krótkości plan całej wystawy. Nie zajmuje ona jakiegoś oddzielnego, jednolitego placu czy parku, lecz leży w samym mieście i granice jej przedstawiają dziwną linią łamaną.

Paryż, liczący obecnie przeszło 2,500,000 mieszkańców, rozpościera się po obu stronach Sekwany, a środek tego olbrzymiego grodu stanowi wysepka, zwana *Cité*, na której wznosi się wspaniała katedra gotycka pod wezwaniem Matki Boskiej, zwana *Notre Dame de Paris* i pałac arcybiskupi. Od połowy XVII wieku, t. j. od panowania Ludwika XIV, prawie aż do ostatnich czasów można było uważać Paryż za serce świata cywilizowanego, z którego, dzięki rozpowszechnieniu języka francuskiego, rozchodziły się na wsze strony nauka, sztuki piękne, wynalazki, mody i wszystko co wytworne i gustowne. Obecnie wpływ ten upadł, nie mniej jednak pomimo wad wielu Francuzi swą pracowitością i pomysłowością mogą pod różnemi względami służyć za wzór, zwłaszcza w przemyśle.

Wystawa tegoroczna rozbiła swe namioty w kształcie pałaców przeróżnych w zachodniej części miasta po obu stronach rzeki. Po lewej zajęła największy plac, tak zwane pole Marsowe, z którego wystrzela 300 metrowa wieża Eiffel, i mniejszą esplanadę Inwalidów, czyli plac, między rzeką i przytułkiem dla zasłużonych rannych żołnierzy, posrodku którego, w otwartym podziemiu kościoła, pod wspaniałą złoconą kopułą, spoczywa w marmurowym grobowcu Napoleon. Po prawej stronie Sekwany zajmuje wystawa dwa daleko mniejsze place: Trocadero, naprzeciw pola Marsowego, połączony z nim mostem Jena, i część pól Elizejskich, połączone z esplanadą Inwalidów świeżo ukończonym mostem cesarza Aleksandra III. Wybrzeża rzeki między temi dwoma mostami, wązkim pasem z obu stron, stanowią także część wystawy i to jedną z najładniejszych, bo składają się z pałaców rozmaitych państw i narodów. Oprócz tego artylerya, rolnictwo i sporty zajmują oddzielny teren za miastem w lasku Vincennes.

Już z tego szkicu łatwo pojąć, że wystawa zajmuje ogromną przestrzeń i że przenoszenie się z jednej jej części na drugą wymaga dużo czasu z powodu wielkich, kilku wiorstowych odległości. To też urządzono różne środki komunikacyjne, między innymi nader osobliwy chodnik

Pole Marsowe na wystawie paryskiej.



Pawilon kopalin
i metalurgii.

Pawilon
tkanin.

Pawilon
maszyn.

Pawilon elektryczności
i wodotryski.

Pawilon rolnictwa
i sala zebrań.

Pawilon przemysłu
chemicznego.

Pawilon inżynierii
i cywilnej.

Pawilon szkół
i nauk.

ruchomy, który opiszę innym razem, a tymczasem zatrzymam się na polu Marsowem i Trocadero. Jeżeli stanieny tyłem do wieży Eiffla i Sekwany, to ujrzymy przed sobą pole Marsowe ze wspaniałymi gmachami, przedstawionymi na rycinie 1-ej, z ogromną sztuczną kaskadą pośrodku. Zrobiwszy pół obrotu ujrzymy (patrz ryc 2-ą) nogi wieży i całe miasto najrozmaitszych gmachów za rzeką przed pałacem Trocadero. Są to budynki rozmaitych kolonii francuskich, wystawa syberyjska z ruchomą panoramą kolei, mareorama i olbrzymi globus, opisane w Wieczorach w roku zeszłym, pawilon z wystawą strojów od najdawniejszych do obecnych czasów i mnóstwo innych oddziałów i pawilonów.

Ponieważ to maj, miesiąc kwiatów, wejdźmy na chwilę do pałacu ogrodnictwa, wyglądającego, jak olbrzymia oranżerya. Pod jej szklanymi sklepieniami i w jej szklanych niszach rozściela się przed oczami widza skąpany w jasnych promieniach słonecznych przepyszny kwiećnik, na tle wysokich liści palmowych rysują się najrozmaitsze kształty i barwy, a pomimo szeroko otwartych okien mocna woń owiewa od samego wejścia i niemal odurza.

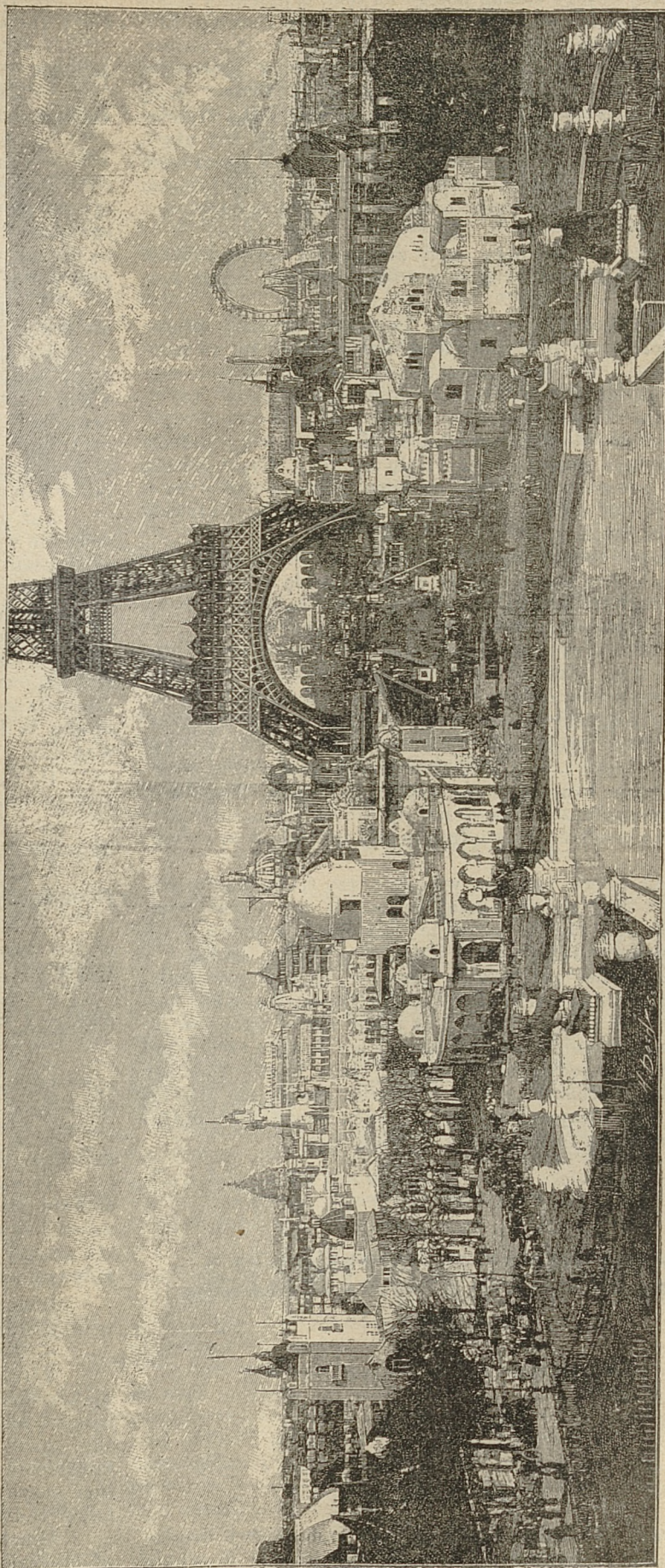
Oglądany w istnym zachwycie 50 odmian fiołków, od zwykłych aż do białych, i niemal zupełnie czarnych; róże tak ciemne, że prawie czarne, dalej najrozmaitsze hiacynty, azalie, nieporównane zbiory bżów w wazonach, gwoźdźki, bratki, a szczególnie storczyki, powykęcane i powystrzępiane w najdziwniejsze, przegowane i centkowane kielichy i języki. Oto najróżniejsze kolczaste kaktusy z pięknymi kwiatami różowemi; tu oko nęca irysy, amarylisy, araukarje, anthurje, tam stoły zastawione nowaliami, do których aż ślinka cieknie. Opośdaj obok tej całej sztuczności i egzotywności wzrok nasz ze szczerą przyjemnością spostrzeżę skromny klombik darniowy, na którym uśmiechają się wdzięcznie różne małe, a miłe leśne i polne kwiatki: niezapominajki, wietrznice, pierwiosnki i urocze konwalie.

Wystawa ta stanowi niezmiernie piękną i pouczającą całość. Potrwa tylko miesiąc mniej więcej, lecz przyjdzie po niej inna i tak przez ciąg trwania wystawy ogólnej zmieni się w pałacu ogrodnictwa sześć kolejnych wystaw kwiatów, owoców, warzyw i innych wytworów tej sztuki, której wzrost zarówno dla oka, jak i dla podniebienia, dla pożytku i rozsądnego zbytku niezmiernie jest pożądany.

Co to jest rozwój?

W ubiegłym miesiącu obchodzono uroczyste w Anglii jubileusz półwiekowej pracy i 80-ą rocznicę urodzin znakomitego myśliciela, pisarza i uczonego

Z wystawy paryskiej



Wieża Eifla i gmachy ją otaczające

Herberta Spencera. Każdy, studyjający nauki filozoficzne i społeczne, spotka się z jego dziełami i poglądami, a jedna z największych jego zasług polega na tem, iż pierwszy ściśle wyjaśnił i określił, na czem zasadza się prawo rozwoju, któremu z woli Bożej podlegają wszystkie twory organiczne, ludzie i nawet całe społeczeństwa i instytucje społeczne, Postarajmy się je wytłomaczyć słowami B. Prusa: Gdy w maju zasadzimy ziarno fasoli, po upływie kilku tygodni wypuści ono dwa kielki: jeden w górę do światła, aby utworzyć łodygę i drugi, który będzie pogrążał się w ziemi i ten utworzy korzeń rośliny. Stopniowo w ciągu kilku tygodni i kilku miesięcy w owych łodyżkach zajdą następujące zmiany:

Łodyga będzie rosła czyli zwiększała się i z czasem będzie ważyła kilkadziesiąt razy więcej, aniżeli ziarno, które je wydało

Łodyga pokryje się liśćmi, kwiatami, wreszcie owocami, a współcześnie pierwotny korzonek podzieli się na mnóstwo korzeni. Takie wytwarzanie się nowych, różnych między sobą części, nazywa Spencer „różniczkowaniem” (differencyacja). Trzeba dodać, że każda zróżniczkowana część rośliny spełnia odmienną czynność. Korzenie ssają pokarm z ziemi, łodyga przynosi soki z dołu do góry, liście czerpią pokarm z powietrza, a kwiaty i owoce pracują nad wytworzeniem nasion, z których powstają nowe rośliny i utrwała się gatunek fasoli

To wiązanie się korzeni roślinnych z ziemią, liści z powietrzem, to wzajemne i ciągłe wspieranie się każdej części rośliny przez wszystkie inne dla wzrostu całości, nazywa się według Spencera „całkowaniem” (integracja).

Podobne zjawiska znajdujemy i w społeczeństwie, które się rozwija. Zrazu mamy nieliczne plemię, w którym każdy mniej więcej robi to samo. Plemię wzrasta i oto zaczyna się różniczkowanie: jedni polują, drudzy uprawiają ziemię, trzeci bronią od napadów, inni znowu wychowują dzieci, handlują i t. p. Lecz choć każda grupa robi co innego, wszyscy wzajemnie się wspierają i łączą, zespalać się w jedno społeczeństwo — naród lub państwo, oddziaływające na zewnątrz, jako odrębna całość. Jest to — całkowanie.

Zatem rozwój oznacza wszędzie trzy ściśle z sobą związane zjawiska: wzrost, dalej tworzenie się coraz to nowych a różnych części, wreszcie wzajemne wspieranie się części i zgodne oddziaływanie ich na otaczającą naturę.

Sam wzrost nie zawsze idzie w parze z rozwojem. Plemię dzikie, naprzykład afrykańskie czy australijskie, może powiększać się ilościowo, lecz jeżeli wśród członków jego nie nastaje podział zajęć i pracy, a z drugiej strony nie łączą się oni w jedną ścisłą całość, lecz każdy ród czy gmina działa luzem, to plemię takie nie rozwija się, ale stoi wciąż na tym samym stopniu i w końcu może stać się łupem silniejszego, to jest lepiej rozwiniętego.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Trwało to wszakże niedługo. Po kamienistej drodze bryczka pięła się znowu powoli w górę, a niepokój Kymbala wzrastał się z każdą chwilą. Nie mogąc go już wreszcie opanować z nadejściem północy, trącił w ramię swego woźnicę.

— Izidorio — rzekł — zróbmy nowy układ...

— Słucham pana.

— Dziesięć tysięcy dolarów, tak jest, całe dziesięć tysięcy dostaniesz, jeśli przybędę na czas!...

— Dziesięć tysięcy!.. Co pan mówisz? — powtórzył Izidorio oszołomiony samym dźwiękiem tych dwóch słów.

— Jak ci powiedziałem, dziesięć tysięcy — rzekł z naciśnięciem dziennikarz.

— Ale zawsze tylko jeśli pan wygra partyę?...

— Rozumie się!...

Izidorio siedział chwilę zamyślony, poczem nie rzekłszy już słowa częstym trzaskaniem z bicia popędził swego rumaka aż do przydrożnej karczmy, gdzie mu dozwolił nieco dłużej wytchnąć, pokrzepił miarką owsa i świeżą napoił wodą.

W rzeczywistości nie było rzeczą niemożliwą, aby nie zbaczając naturalnie na Galisteo, lecz trzymając się linii najkrótszej, przebyć pozostałych jeszcze czterdzieści mil ang., mianowicie gdy teraz droga mniej już była stronną, a koń z cennej rasy meksykańsko-amerykańskiej, okazywał prawdziwie rzadką wytrzymałość. Niechby tylko pogoda utrzymała się nadal równie piękną, jak tej nocy ciepłej, oświetlonej pełną księżycą, który wypłynął na niebiosa, jakby zamówiony depeszą usłużnego Bickhorna.

Już poczciwe zwierzę stało znów w zaprzęgu, rżąc wesoło, ale woźnica jego spokojny w swych ruchach wydał się czwartemu partnerowi zbyt mało przejętym koniecznością pośpiechu, zbyt mało olśniony obietnicą dziesięciu tysięcy dolarów, o których posiadaniu bodaj dotychczas we śnie nie śmiał marzyć.

— Czyby ten rozbójnik chciał jeszcze więcej? — myślał rozgorączkowany — może pięć, dziesięć razy więcej!... Ale ostatecznie cóż mi znaczą tysiące dolarów w obec milionów Williama I. Hypperbona. Niele dwie tyle co kropla w morzu. A więc gdy trzeba, niechże będzie i sto kropli.

Po takim monologu pochylił się do woźnicy w chwili gdy już mieli ruszyć dalej.

— Izidorio — szepnął mu do ucha, nie będzie już dziesięć tysięcy dolarów, ale!...

— Jakto, cofasz pan swoją obietnicę — zawołał woźnica suchym tonem.

— Nie, nie, mój przyjacielu, przeciwnie!... Daję ci sto tysięcy, jeżeli przybędziemy przed południem do Santa-Fè.

— Sto tysięcy — powtórzył Izidorio, mrózając lewe oko. — I zawsze mówisz pan, jeżeli wygrasz?

— Tak, jeżeli wygram!..

— Czy mógłbyś mi to pan napisać na kawałku papieru? Nic więcej tylko tych parę słów.

— Z podpisem mego nazwiska?

— Z podpisem daty i nazwiska pańskiego — potwierdził przezorny Hiszpan.

W warunkach w jakich zostawał Kymbale nie namyślał się ani chwili i na kartce wydartej pośpiesznie z notesu uczynił zobowiązanie wypłacenia panu Izidorio z Santa-Fè stu tysięcy dolarów z chwilą, gdy on Kymbale stanie się jedynym spadkobiercą Williama I. Hypperbona.

Izidorio przeczytał rewers uważnie, a złożony go, wsunął starannie do woreczka.

— Zatem dalejże w drogę! — rzekł.

Teraz rozpoczęła się jazda szalona, w której woźnica nie zważał już ani na swe poczciwe zwierzę zdobywające się na ostatnie wysiłki, ani na bryczkę, zagrożoną każdej chwili wywróceniem i rozbitciem. Ale też jedynie dzięki takiemu bezwzględnemu pośpiechowi, zdołał czwarty partner przybyć do celu swej podróży jeszcze na dziesięć minut przed dwunastą

Miasto Santa Fè, mimo, że jest uznaną stolicą Nowego-Meksyku, liczy zaledwie siedm tysięcy mieszkańców, między którymi znajduje się jeszcze mały procent Amerykanów, ponieważ Stan ten przyłączony do Unii zaledwie przed paru laty, niedawno dopiero otrzymał państwową admi-

nistracyę. W ogólnym też swym charakterze pozostało jeszcze raczej hiszpańską mieszcina, przedstawiającą dla turysty mało interesu. Oprócz bowiem ruin kościoła, wzniesionego tu przez Hiszpanów podobno przed trzema wiekami, oraz „pałacu gubernatorów” który jest pospolitym budynkiem parterowym z ganeczkiem na drewnianych słupach, reszta domków ulepionych przeważnie z gliny na wzór chat krajowców, przedstawia widok dość nędzny.

A jednak jest to kraj mający wielką przyszłość przed sobą ze względu na bogate kopalnie srebra, znajdujące się mianowicie w najbliższej okolicy Santa Fe i pod samem-że miastem, gdzie przy niewielkiem nawet pogłębieniu wydobywają duże bryły rodzimego srebra.

Szczęśliwy, że uniknął opóźnienia, czwarty partner odpowiedział tylko gestem ręki witającym go u drzwi biura telegraficznego kilkudziesięciu ziomkom, tak biegł spiesznie po odbiór depeszy.

Po sprawdzeniu tożsamości jego osoby, urzędnik doręczył mu zamiast jednego aż dwa telegramy, wysłane prawie równocześnie z Chicaga.

Pierwszy z nich był od rejenta Tornbrocka z rezultatem drugiego z kolei rzutu kości, który liczbą dziesięć powstała z punktów: pięć i pięć, wysłał go do przedziałki dwudziestej drugiej, czyli do Południowej Karoliny.

A zatem stało się zadość życzeniu tego niemordowanego podróżnika! Piętnaście tysięcy mil miał znowu przed sobą!... Ale on jeszcze niema dosyć, bo oto myśli sobie:

— Do Florydy miałbym parę set mil więcej!

Nauczony już wszakże doświadczeniem jak cenne bywają nie tylko dni, ale godziny i minuty w takiej podróży, nie przyjął zaproszenia swych ziomków na przygotowany festyn, postanawiając bezwzględnie puścić się w nową drogę, a posłuszny radom zacnego burmistrza z Buffalo spieszył przedewszystkiem na przeznaczone miejsce, z kąd dopiero, gdy czas pozwoli, będzie mógł przedsiębrać wycieczki.

Nad planem najkrótszej drogi nie potrzebuje się trudzić, gdyż właśnie drugi telegram wysłany przez nieocenionego Bickhorna przedstawił mu takowy jaknajlepiej ułożony.

Ponieważ linia kolei była jeszcze nieczynna, przeto w ten sam sposób musiał rozpocząć biedny dziennikarz swą drugą, jak zakończył swą pierwszą podróż.

Niewątpliwie Izidorio pospieszył przed swymi kolegami wychwalać niepraktykowaną hojność swego pasażera, skoro teraz oblegli go tłumnie wszyscy miejscowi woźnicy, ofiarując jeden przez drugiego swe usługi. Przedstawiła się tylko trudność wyboru.

Może Kymbale byłby wolał ze znajomym już sobie Izidorio opuszczać Santa Fe, ale on widocznie nie mniej zadowolony zyskiem, jak zmęczony trudami szalonej jazdy przyszedł dopiero o godzinie trzeciej, czyli przed samym wyjazdem dziennikarza.

— No jakże tam przyjacielu, wszystko dobrze? — zapytał go Kymbale.

— Dziękuję panu, dobrze.

— A pamiętaj, że jesteś teraz współnikiem mej przyszłej fortuny.

— O nie panie, po tysiąc razy nie, ja nie zasłużyłem na to...

— Przeciwnie, mój zuchu, wdzięczny ci jestem za twoją gorliwość, twe poświęcenie nawet, bez którego byłbym niechybnie przybył zapóźno i został usunięty z gry. Wszakże ostatecznie od paru minut wszystko zawisło...

Izidorio wysłuchał tej pochwały ze zwykłą sobie pochmurną miną, poczem rzekł:

— Jeżeli pan jesteś zadowolony, ja nim jestem również...

— Bardzo mię to cieszy. A teraz pamiętaj zachować ten papier jako cenny dokument, i skoro się dowiesz, że zostałem zwycięzcą w wielkiej grze Hypperbona, przyjedź sam do Chicaga po należne ci kapitały. Bądź pewny, że cię nie pokrzywdzę.

W odpowiedzi na to zaproszenie Izidorio potarł ręką czoło, jak to czyni człowiek, mający coś do powiedzenia, ale waha się jeszcze.

— No cóż tam? Czy może uważasz, że niedostatecznie pragnę cię wynagrodzić?...

— Nie to panie, nie to! Ale widzi pan, te sto tysięcy dolarów... to zawsze tylko... jeżeli pan wygrasz...

— Więc zastanów się mój drogi, czy może być inaczej...

— Dlaczego nie?..

— Więc myślisz, żebym ci taką sumę mógł wypłacić z własnej kieszeni, nie czekając aż stanę się spadkobiercą tamtych milionów.

— O nie, panie Kymbale, ja to rozumiem dobrze, aż zanadto dobrze! I dla tego też... wolałbym...

— Cóż takiego?

— Tylko sto dolarów, ale pewnych...

— Jakto wolisz sto, zamiast sto tysięcy!...

— Tak — odpowiedział spokojnie Izidorio. — Bo widzi pan, ja nie lubię liczyć na przypadkowe szczęście... i sto pięknych dolarów, którebyś mi pan dał zaraz, uważam za lepsze...

Kymbale skinął głową na znak zgody. Kto wie może żałował on już trochę swej hojności, więc też z chęcią wypłacił zaraz życzoną sumę woźnicy, który podziękował za nią uprzejmie, a rozdarszy rewera zwrócił go dziennikarzowi.

Wszyscy obecni żegnali odjeżdżającego głośnemi okrzykami, życząc w dalszym ciągu powodzenia.

— I nie żałujesz zamiany owych stu tysięcy na marnych sto dolarów? — zapytał ktoś Izidora.

— Gdzież tam! Dla mnie zawsze lepszy: wróbel w ręku niż kanarek na dachu. A potem, widzi pan, ja nie mam wielkiego zaufania w wygraną tego pana Kymbala, i nie stawiałbym na niego ani dwudziestu pięciu centów. Zanadto on jest pewny siebie.

Obawy Jowity Foley.

Zgodnie z losem jaki jej przypadł, Helena Nałęczówna była piątą w grze Hypperbona. Całych więc dni dzie więć upłynąć miało odkąd Maks Real opuścił Chicago zanim i ona z kolei rozpocznie wyznaczoną sobie podróż.

Jeżeli zaś nieskończenie długim wydał się czas oczekiwania poważnie usposobionej Polce, to stał się on prawie męczarnią dla żywego temperamentu Jowity Foley, która przestała już jeść, spać, przestała nawet myśleć o wszystkim innem, co choćby pośrednio nie miało związku z tą grą przesławną.

Zaraz jeszcze pierwszego maja zabrała się energicznie do upakowania walizki, aby tylko jaknajprędzej wszystko było gotowe, i tak jak namówiła swą przyjaciółkę, by razem z nią była obecna pierwszemu rzutowi kości w sali Auditorium, tak nie opuściła też żadnego z następnych.

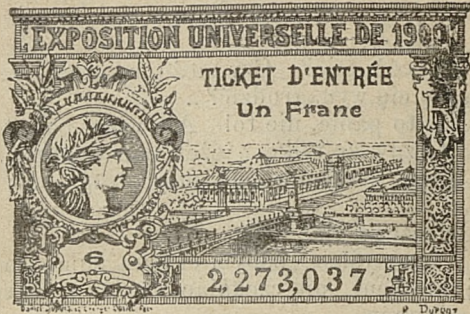
Nareszcie jeszcze tylko czterdzieści ośm godzin, a tajemniczy los wypowie pierwsze swe słowo dla obu „partnerów numer piąty,” tak bowiem przyzwyczajono się w Chicagu nazywać nierozdzielne przyjaciółki, uważając je niejako za jedną tylko osobę.

Już od samych uroczystości pogrzebowych panowie Marsall i Field udzielili łaskawie nieograniczony urlop swej kasyerce, a z nią i ekspedytorce. Obie więc spędzały czas wolny razem w swem miłym mieszkanku, na długich pogawędkach. Żywa Amerykanka chciała wszystko widzieć jedynie w jasnym świetle nadziei, Helena Nałęczówna mniej była skłonna do złudzeń.

— Wszystko to bardzo piękne, co mówisz Jowito, lecz to tylko są twe złote marzenia, których urzeczywistnienie jeszcze jest bardzo, bardzo dalekie.

— A ja wierzę, że jest blizkie... że...

(d. c. n.)



Bilet wejścia na wystawę paryżką z widokiem mostu Cesarza Aleksandra III i wielkiego pałacu sztuk pięknych.

ZE ŚWIATA.

Dowcipny wujaszek. — Św. Pankracy, Serwacy i Bonifacy. —
Wieczysty ogień — Wzrost człowieka. — Dowcip żołnierski.

Pewien wujaszek, zapytywany kilkakrotnie przez swą małą siostrzenicę, która chciała mu zrobić niespodziankę na imieniny, co najlepiej lubi, odpowiedział jej temi słowy: „Widzisz, moja mała, ja nie jestem taki wybredny, jak niektóre panienki, ja lubię wszystko tylko — pod pewnymi warunkami. Naprzykład lubię musztardę, ale jeśli pod nią jest kawałek szynki albo kawałek zimnego mięsa; lubię także sól, jeśli w niezbyt wielkiej ilości bywa rozpuszczoną w dobrej zupie rakowej, sądzą nawet, że zupa rakowa dla tego została wynaleziona, aby w niej można było rozpuścić szczyptę soli. Lubię główkę od szpilek, jeśli jest wsadzona z boku w poduszkę skórzaną, którą po obiedzie znajduję zwykle na mojej otomianie, bo ta poduszka chroni szpilkę od zaziębienia. Ale najlepiej lubię splot kręcących się figlarnie włosów, jeżeli są przyrośnięte do takiej główki, jak twoja, bo same włosy bez głowy, to zaraz się rozpierschną i rozlecą po pokoju.”

Lud twierdzi, iż w dniach śś. Bonifacego, Pankracego i Serwacego musi być zimno. Tegoroczna wiosna nie zadała kłamu wierzeniom ludowym. Ale nauka zapewnia, iż około 12-go maja ludzkość powinna oczekiwać zniżenia się temperatury, Przyczyny podają różni uczeni różne. Tak np. niektórzy zapewniają, iż przyczyną zimna, a nawet mrozów w tych dniach jest nagromadzenie się lodów na Atlantyku. Inni twierdzą, iż przyczyną tego jest topnienie śniegów na wyżynach południowo-zachodu Europy. Von Bezold mniema, iż półwysep Bałkański gwałtownie ogrzany upałami pierwszych dni maja wywołuje depresję atmosferyczną i ściąga na Europę zimne wiatry północne. Adolf Erman wreszcie zapewnia, iż około 12 maja rój meteorytów, niewidzialnych kiedyindziej, przebiega pomiędzy słońcem

a ziemią i zmniejsza dobroczynne działanie promieni słonecznych.

Wieczysty ogień płonie dotychczas od 1200 lat w świątyni Udwada w Indyach. Ogień ten podsycony bywa pięć razy na dobę santalowym drzewem i różnemi pachnącemi gałązkami. Przyniesli go tu Gwebrowie, czyli czciciele ognia z Persyi. Kiedy niekiedy przybywają oni z różnyc stron Indyj, aby się żnierzowi pokłonić.

Przekonano się, że człowiek najprędzej rośnie w pierwszym roku życia. Przybywa mu przez ten czas 16 centym. Od jednego do 3 lat wzrost jest powolniejszy, a w 5-tym roku życia dziecko dosięga połowy wysokości, jaką będzie miało po dorósnięciu. Od piątego roku człowiek wciąż rośnie aż do 16-go, a w zwykłych warunkach przybywa mu średnio co roku 5 centym. Od 16-go r. wzrost staje się powolniejszym; przez następne 2 lata przybywa człowiekowi rocznie po 12 milim. najwyżej. Od 18—20 roku życia przybywa mu rzadko więcej nad 14 milim. Gdy dosięgnie lat 26-iu zwykle już rość przestaje.

Znajomy nasz z „Pojednanych” wachmistrz Marcin Góra, tak raz zabawiał na jednym z noclegów, w czasie wojny hiszpańskiej, swego porucznika Lubienieckiego:

— Czy wie pan porucznik, jaka jest różnica między porucznikiem a bocianem?

— A no, powiadaj.

— Bocian potrafi stać na jednej prawej nodze i pan porucznik także, kiedy zechce; bocian potrafi stać na jednej lewej nodze i pan porucznik także...

— Więc niema żadnej między nami różnicy? — rzecze porucznik.

— O nie! pan porucznik może stać na prawem albo na lewem skrzydle, a bocian tego nie potrafi.

ZAGADKI KOMBINACYJNE.

Irenka spotyka w tramwaju koleżankę swoją Zosię, jadącą z jakimś panem.

— Czy ten pan to twój ojciec, Zosiu? — pyta.

— Nie! — odpowiada Zosia — matka tego pana jest mojej matki świekrą.

Czem jest ten pan dla Zosi?

Była rzeczka i mostek: rzeczka wyschła, mostek się spalił. Co pozostało?

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 20-go.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Oaza. 2) Ruhr. 3) Medici. 4) Uzedom. 5) Zagłoba. 6) Dekan. Ormuzd — Ariman.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Święto Diwy, przez Z. Morawską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Z wystawy paryżkiej (z rycinami). — Co to jest rozwój? — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Ze świata. — Łamigłówka i rozwiązania. Dodatek: — Sambo i pelikan, wierszyk (z ryc.) — Towarzyszek Felui. — Majówka Magi. — Obrazek z dawnych czasów, przez Wandę Klawe. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 13 Мая 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Sambo i Pelikan.



Mały Sambo, chłopczyk żwawy,
Mniej jest mądry, niż ciekawy.
Chęć go bierze niesłychana
Zajrzeć w jajko pelikana.

Raz, gdy imé Pelikanowa,
Wstała z gniazda, snać niezdrowa,
Chwyta jedno i — jak strzała,
Z swą zdobyczą drała! drała!

Wtem trzask! kara go dosięga,
Pelikanik się wylęga,
I w sam nos murzynka dziobie...
Oj! nawarzył piwa sobie.

Towarzyszka Feluni.

(Dokończenie).

Zachęceni przykładem Antka, Staś i Józia zaczęli także swoje projekty na przyszłość rozwijać i rodzicom swą pomoc obiecywać. Wszystkim żal było rozstawać się z Marynią i wszyscy woleli na własnych siłach, niż na łasce cudzej nadzieje przyszłego szczęścia budować. Józef i jego żona, słuchając obietnic swych dzieci, uśmiechali się wesoło, a twarze ich szczęściem promieniały. Tym razem było to już szczęście niezmacone niczem, znacznie większe niż to, któreby zawdzięczać mogli tysiącowi rubli, ofiarowanemu przez panią Solimowską. Widzieć wszystkie dzieci w koło siebie, poczciwe, kochające, pracowite, wspierające się wzajemnie i odważnie zdobywające o własnych siłach i chleb i szacunek porządnych ludzi, toć to takie szczęście, jakiego za żadne pieniądze nie kupi. Nareszcie Józef przerwał rozmowę.

— No, więc jakże matko, przehandlujemy Marynię?

— Chyba nie — odpowiedziała Józefowa. — Już tak będziemy wszyscy razem biedowali, aż lepszych czasów doczekamy.

A Marynia, słysząc to, pobiegła do matki i rzuciła się jej na szyję.

— Matusiu, zatrzymajcie mnie w domu, nie puszczajcie w świat, już ja wam pomagać i posługiwać będę, choć mała jestem jeszcze.

— Tak? a ja myślałem, że się tak cieszysz, że panią masz zostać — rzekł Józef.

— Mnie się zdawało, że rodzicom ciężko, że mają za dużo dzieci, a bezemnie to byłoby mniej.

— Znajdzie się miejsce dla was wszystkich choć w ciasnej izbie — zakończył rozmowę ojciec i stanęło na tem, że dziś jeszcze przy niedzieli rodzice na pierwsze piętro pójdą i panią Solimowską zawiadomią, iż córki jej oddać nie mogą.

Radość w rodzinie była tak wielka, jak gdyby wszyscy stali się naraz bogatsi o te tysiąc rubli, które mieć mogli, a których przyjąć nie chcieli.

Kiedy Józefowie na górę przyszedli i panią Solimowską o ostatecznym swem postanowieniu zawiadomili,

panie zdziwiły się trochę, a Felunia gwałtownym wybuchnęła płaczem.

— Mamo, mamo — wołała — ja nie chcę być samą, ja chcę z Marynią jechać! Niech mama powie Józefowej, żeby nam ją dała.

Pani Solimowska jeszcze próbowała namowy:

— Ja rozumiem, że kochacie swoje dziecko, ale przecież, jeśli mnie ją oddacie, to tylko dla jej własnego dobra.

— Et, kto tam wie, proszę pani, gdzie ją więcej szczęścia czeka. To tylko Bogu wiadomo. Mamy my swoje zmartwienia, mają i państwo swoje. Póki ją mam przy sobie, to wiem co jej dolega i zawsze mogę jej jakąś ulgę, pomoc, pociechę przynieść. A jak ona daleko, jak ona panią zostanie, to ja ani wiedzieć nie będę, kiedy ona smutna, kiedy płacze i za czem, a choćby mi powiedziała, to jej nic na to nie poradzę, bo może nawet nie zrozumie, o co jej chodzi.

A kiedy Felunia wciąż jeszcze płakała, Józefowa zbliżyła się do niej i po swojemu perswadować zaczęła:

— Rodzice panienki są bogaci, ale jeszcze i bogatsi od nich ludzie są na świecie. A żeby tak panienkę król jaki chciał wziąć na swój dwór i księżniczkę z niej zrobić, a mamie i tatusiowi za to jakie królewskie zamki podarował — czyby Felunia rzuciła ojca i matkę — a rodzice czyby chcieli Felunię królowi oddać?

Felunia spojrzała z zapytaniem na mamę, a pani Solimowska z uśmiechem odpowiedziała:

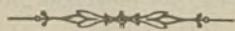
— Nie oddałabym cię królowi, moja dziecino.

— A i Marynia nie taka znów biedna — mówiła dalej Józefowa — żeby biedniejszych od niej nie było. Marynia ma tatę i mamę, co na nią pracują, ma siostrę i braci, którzy ją kochają. A są takie biedne sierotki bez ojca i matki, albo takie dzieci, które ojciec i matka na ulicy rzucili, a one są zupełnie same na świecie na łaskę losu oddane.

Feluni oczki aż się rozszerzyły z przerażenia i znowu na matkę swą pytającą wzrok zwróciła.

— Czy to prawda? mamusiu — czy to prawda?

— Tak, prawda, moje dziecko — odparła pani Solimowska. — Najbiedniejsze są te dzieci, których nikt nie kocha.



MAJÓWKA MAGI.

(Dokończenie).

— Nie ma żadnego „ale”, „słuchaj dalej, co powiem. Tam, w mieście jest jeden wielki dom, zaglądam tam nieraz przez okna. A wiesz, co widzę? Cały rząd małych łóżeczek, gdyż jest to szpitalik dziecienny. Łóżeczka są wygodne, ale dzieci w nich leżące blade i cierpiące i bardzo, bardzo osłabione; podczas gdy ty masz różowe paluszki i tłuste, jędrne nóżki i rączki, jak wałeczki. Księżniczką jesteś doprawdy.

— Ale, cóż mam zrobić? — spytała płacziwie Maga.

— Jesteś grzeczną, małą dziewczynką, ale mogła-

byś, gdybyś zechciała być jeszcze o wiele lepszą: *cokolwiek* posłuszniejszą, *cokolwiek* więcej myślącą o innych. Czy mam ci powiedzieć, w jaki sposób?

— Proszę, bardzo proszę — odparła Maga, podczas gdy trzy kuce, oparłszy głowy na parkanie, przysłuchiwały się pilnie i z zajęciem słowom pszczoły...

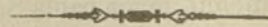
Gdy pszczołka w ten sposób rozmawiała z dziewczynką na cichem polu, we dworze powstał popłoch nielada. Wskazówki na zegarze posuwały się naprzód, jak zwykle w zegarze, a Maga od wielu już godzin powinna była być w domu; ojciec jej i matka z początku nie zwracali uwagi na to opóźnienie; był to dzień majówki, mogła przeto dłużej zabawić u babci. Ale gdy dzień miał się już ku końcowi, a nawet czerwone słonko już zaszło za swym ulubionym wzgórkim, matka zaczęła się obawiać, a ojciec w końcu tak się zniecierpliwił, że nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, porwał za kapelusz i wyszedł na spotkanie swej córki.

Ale nie spotkał jej. Szedł więc dalej aż do podwórka dziadków, lecz tam, ku wielkiemu swemu przerażeniu dowiedział się, że jego ukochana jedynaczka od dwóch godzin już poszła. Wyszedł tedy natychmiast i biegł spieszenie do domu, sądził bowiem, że pod jego nieobecność dziecina wrócić mogła — nie było jej jednak i tu. Wtedy wszyscy wybiegli na poszukiwanie — lecz niestety, napróżno!

— Zobaczmy, czemu się te kuce tak uważnie przyglądają — rzekł ojciec Magi, gdy przechodził z parobkami przez pole — i poszedł wraz z nimi w stronę kuców; tam pod parkanem leżała, głęboko uspiona Maga, w swym czerwonym kapturku, który zsunął się na złote jej włoski. W jednej chwili ojciec przeskoczył przez parkan, porwał dziecko na ręce i okrywając je pocałunkami, zanosił do domu. Wszyscy tak się ucieszyli, że ją odzyskali, iż nie mieli serca karcieć; a gdy dziewczeczka ujrzała twarz matki, zalaną łzami, postanowiła sobie nigdy już więcej nie być nieposłuszną i roztrzepaną, i myśleć zawsze przedewszystkiem o drugich. Nazajutrz wyszukała swą małą przyjaciółkę, której zwykle powierzała swe tajemnice, i ze łzami w oczach, głosem przerywanym westchnieniami, powtórzyła jej wszystko, co jej pszczołka powiedziała, o biednych dzieciach w wielkich miastach, i o ile lepiej jest być zadowolonym z tego, co się ma, niż życzyć sobie być księżniczką.

Pokazało się, że przygoda Magi po owej majówce była dla niej korzystną — od tej chwili bowiem nie była już roztrzepaną, ani nieposłuszną i nigdy więcej nie martwiła tych, których kochała.

Natalia Nagórna.



Obrazek z dawnych czasów.

W dużej, jasnej izbie, której ściany były zawieszono skórą dzikich zwierząt, siedziała trzydziesto kilkoletnia kobieta, zajęta przędzeniem. Właśnie odkładała na bok robotę i zabierała się do wyjścia, gdy uchyliła się

skóra, zastępująca drzwi między jedną izbą a drugą z poza niej ukazała się młoda, piętnastoletnia dziewczeczka. Zbliżyła się do siedzącej na ławie kobiety i rzekła prosiącym tonem:

— Miałam dziś dziwny sen. Pozwólcie mi, matko iść do świątyni za Wilię i zapytać wajdelotę, co oznacza.

Matka pogładziła jasne włosy dziewczęcia.

— Niech cię bogowie prowadzą, Biruto — rzekła.

Córka z wdzięcznością ucałowała jej rękę i wyszła z izby. W kilka minut była gotowa i puściła się w drogę. Szła przez pół godziny, aż wreszcie stanęła przed niewielką chatką; weszła nieśmiało do jej wnętrza i rozejrzała się naokoło. Pod ścianą, na ławie siedział zgrzybiały staruszek w szacie wajdeloty, z białą, do pasa sięgającą brodą.

Biruta z uszanowaniem pochyliła się ku ręce starca.

— Witajcie, ojcze! — rzekła. — miałam dziś dziwny sen, więc pragnę bardzo, byście mi go wytłumaczyli.

— Mów córko — odparł kapłan.

— Śniło mi się — ciągnęła Biruta — że siedziałam nad rzeką i splatałam wieniec z kwiatów. Nagle z wody wynurzył się Atrimpos *). Zaczęłam mu się przypatrywać, wtem otoczyła mnie wielka jasność. Obejrzałam się i zobaczyłam za sobą cudnej urody dziewczę z koroną na łowie. Zdziwiłam się bardzo i zapytałam ją: kto jesteś? Ona mi nic nie odpowiedziała, tylko, wzięwszy za rękę, poszła ze mną po wodzie ku temu miejscu, gdzie stał Atrimpos. Gdyśmy już były blisko niego, krzyknęłam przerażona i zasłoniłam oczy ręką: Atrimpos był drewniany! Wtem na niebie ukazał się jakiś znak, zupełnie podobny do tego, jaki chrześcijanie noszą na piersiach. Ona wzięła mnie za rękę i poprowadziła daleko.. daleko..

* * *

Dziwna wieść rozeszła się pośród Litwinów: wielki książę, Jagiełło, ożeniwszy się z Jadwigą, królową polską, przybywa z nią, by ochrzcić cały swój naród. Znikną więc wprędce świątynie litewskie, pozamieniają je na ościoty chrześcijańskie. Nie będzie już lud wraz ze wschodzącym słońcem składał ofiar Ausce **), tylko w jedyne Boga prawdziwego Stwórcę wszech rzeczy będzie wierzył, choć z początku z trudnością mu przyjdzie awnych swych bożków zapomnieć!

W tej samej, co przed rokiem komnacie, spotykamy najomą nam, ale jakże zmienioną Birutę! Dawna wesołość znikła z jej twarzyczki, na czole jakaś chmurka się ojawiała, w oczach błyszczących dawniej pustotą i weselem, zamieszkał żal i smutek. Od trzech tygodni już młodszą jej siostrzyczką, Juttą, ciężko zaniemogła. Nie omagały zioła ni lekarstwa: dziecina gasła w oczach rodziców. Teraz właśnie usnęła, a Biruta usiadła przy niej gałązką odpędzała owady. Wtem usłyszała czyjeś kroki: obejrzała się — i rumieniec wystąpił na jej lica. Przy niej stała biała, cudowna postać zupełnie podobna do tej, którą przed rokiem we śnie po raz pierwszy ujrziała.

— Ktoś ty? — zapytała przestraszona.

— Jestem Jadwiga, królowa polska — odparła przybyła ze słodyczą. — Dowiedziałam się, że siostra twa zasłabła, więc przyszedłam ją zobaczyć.

Wyrzekłszy to, pochyliła się nad Juttą. Dziewczynka miotana silną gorączką, rzucała się i wymawiała niezrozumiałe wyrazy.

— Biedne dziecię! — wyrzekła Jadwiga — jakżeż cierpieć musi. Przysięgam tu zaraz lekarza; może on ją zdoła uratować.

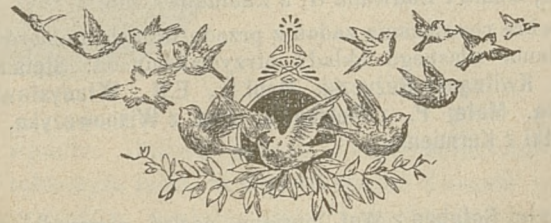
I od tego czasu kilka razy na dzień królowa przysyłała swego nadwornego lekarza do rodziców Jutty. Wszelkie jednak starania były daremne: choroba nie ustawała. Wtedy zrozpaczeni rodzice chwycili się ostatniej deski ratunku: usłuchali rady królowej i córkę swą ochrzcić pozwolili. Biedni ci ludzie, widząc, że bogowie litewscy zostają obojętni na błagania ich o powrót do zdrowia Jucie, w Bogu chrześcijańskim jedyną swą nadzieję złożyli.

Zapanowała wkrótce radość wielka w całym domu. W kilka dni po ochrzczeniu, Jutta zaczęła powracać do zdrowia. Rumieniec zjawiał się na jej bladej twarzyczce, a po tygodniu, pierwszy raz od czasu swej choroby, spokojnym snem usnęła.

Nikt nie zdoła opisać, jaką wdzięcznością przepelnione były serca całej rodziny dla Jadwigi. Biruta szczególnie ukochała ją całą siłą swego młodego serduszka, a gdy wraz ze swymi rodzicami chrzest św. przyjęła, nie chciała już za nic rozłączyć się z ukochaną swą królową i wraz z nią do Krakowa podążyła.

Sprawdził się sen młodej Litwinki: Jadwiga zawiozła ją daleko... daleko...

Wanda Klawe.



SZARADA.

Gdy pierwsze znanym przetworem jest z mleka.
Drugie jest zawsze w naszym alfabecie,
Wszystko niezbędne do życia człowieka,
Lecz i u zwierząt również je znajdziecie.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożył Husarz dla Ulana.

W kwadraciku o 25 przedziałkach umieścić 6 A — 2 D — 4 E — 2 G — 4 N — 2 O — 1 P — 3 R — i 1 W — aby odczytać w obu kierunkach: 1) Rzeka w Europie. 2) Jezioro w pół. Europie. 3) Moneta dawna. 4) Biesiada w początkach chrześcijaństwa. 5) Rzeka w Europie.

*) Bożek wody u Litwinów.

**) Bogini słońca.

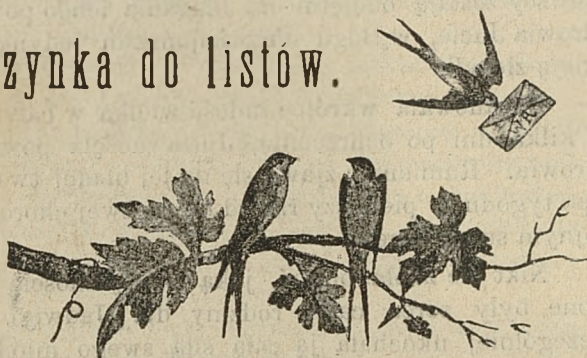
ROZWIĄZANIA DO N-rn 20-go.

Zagadki Osieł.

Łamigłówki w trójkącie:

B o l e s ł a w
O n t a r i o
L o n d y n
E m a u s
S a r a
L o t
A h
W

Skrzynka do listów.



Maryni Lubień. żadaną książeczkę posłano, pierwszy list musiał zaginąć, bośmy go nie otrzymali. Bardzo będzie nam miło poznać się z tobą, jeżeli dotrzymasz obietnicy wstąpienia do Redakcyi w przejeździe przez Warszawę. Jaskółka jest młodą osobą, wielką przyjaciółką dzieci, w szczególności zaś swych korespondentów. Henrysiowi, naszemu dawnemu znajomemu, winujemy promocyi z nagrodą do VII-ej klasy.

Na Kolonie Letnie złożyli: Romcio i Zosia M. kop. 60; Ania, Genia i Ludwinia G. z Zabłudowa rub. 4.

Dobre rozwiązania zadań z przedostatnich numerów, jako też zadania własnego układy otrzymaliśmy od: **Stefana Liedt., Sfinksa, Kwitnącej Różyczki, Mani L., E.H., Władysława Karp., Chochlika, Małej P. z Piotrkowa, Pod. z Wisnowczyka, Iskierki i Trzpiotki z Kurmienia.**

Białej Gołębce z Woł. musiano posłać przypadkiem nagrodę przeznaczoną dla starszych czytelników; gdybyś miała jaką okazję do Warszawy i odesłała nam tę książkę, moglibyśmy wzajemnie przesłać inną, odpowiedniejszą dla ciebie.

Rybitwa z nad Wisły otrzymałaby zaraz żądane książki, gdyby podała dokładny swój adres i nazwisko, bo inaczej nie wiemy, gdzie cię szukać. Jeżeli zbyt krótko odpisałam twemu braciškowi, to tylko dla braku miejsca, a gołębów z żalem przyjąć nie mogłam, bo trudno mi je trzymać w uwięzi w mieście. O kartkę bardzo cię proszę i nawzajem tobie jedną wysłałam. Czyś zwróciła uwagę na zawiadomienie o wymianie kart w zeszłym numerze?

Zadanie twoje, **Chochliku**, oddaję Redakcyi do rozporządzenia, bo to nie mój dział. „Różę bez kolców” czytam z równem

jak ty zajęciem, a chociaż znam autorkę, o końcu dowiedzieć się nie mogłam. Tajemniczy sir Warburton znajduje podobno róż bez kolców, bo taka róża, tracąca kolce, rośnie w Tatrach.

„Czem więcej szlachetnych dusz otacza człowieka, tem szlachetniejszym on się staje” pisze do mnie **Orle Pachole**, a ja z jego zdaniem się godzę i zdaje mi się, że nie tylko ja na was, ale i wy na mnie dobrze oddziaływacie. Posiadając przyjaźń, zaufanie tylu młodych i zacnych serc i główek, chciałabym być coraz lepszą i zasługiwać na dobre wyobrażenie, jakie ty naprzykład masz o mnie. Nietylko cię upoważniam, ale proszę o utrzymanie stałej korespondencyi, wymiana myśli, choć listowna, nawiązującą stałą nie sympaty i przyjaźni.

Prawdziwą radość po długim milczeniu sprawiło mi odezwanie się **Żywili**. Gdy od którejs z was nie odbieram długo wiadomości, wymówek nie czynię, bo nie znam powodów, które wam w pisaniu przeszkodziły, o zapomnienie posądzać nie chcę, ale gdy się po długim milczeniu która odezwie, radość moja podwójna. Tak było i przy odebraniu twego listu, ze ślicznym własnoręcznym rysunkiem kochana, **Żywilo**. Że ładnie rysujesz, sama to widzisz, więc nie wątpię, że moje pochwały będą tylko zachętą do dalszej pracy, a w dumę wbijać nie będą. I mnie słowa serdeczne twego listu uczyniły dumną z tego, że posiadam takie zacne i przyjazne mi serce wśród gromadki moich korespondentów. Czy i nadal będę zmuszoną tak długo czekać na list twój następnym?

Romci z Pod. „Słownik” Glogera dla młodego wieku jest zupełnie dostępny, nie jest to wszakże książka do przeczytania jednorazowego, ale taka, do której bezustannie zaglądać trzeba i szukać wyjaśnienia różnych zwyczajów, przedmiotów, nazw i wyrazów. Cena wynosi kop. 50, a przesyłka 28 kop.

Arytmogryf Małej Pol., złożyłam w Redakcyi, za pamięć i tobie i **Brzozie Płaczącej** dziękuję.

Trzpiotce z Kurmienia. Wszelkie łamigłówki, szarady i t. p. zadania należy układać z własnego pomysłu, książka służyć może jedynie do wyszukiwania odpowiednich wyrazów. List twój bardzo krótki, znudzić mnie nie mógł, ale pamiętaj, że mnie nigdy odczytywanie waszych listów nie nudzi i lubię bardzo, gdy do mnie obszernie pisujecie. To też cieszę się zapowiedzią **Iskierki**, że gdy czas pozwoli, będzie do mnie długie listy pisywała, a tymczasem życzę, by ci się egzamina najpomyślniej powiodły.

Pod. z Wiśniowczyka. Jedną z żądanych książek i nr. 17 **Wieczorów** posłano. Zagadki oddane do Redakcyi.

Nagrodę dla **Lolusia Sybiraka** wysłałam, wraz z serdecznym pozdrowieniem.

Białemu Krukowi za kartkę bardzo dziękuję i proszę o zasłużony bławatek. Nie możemy wiedzieć ile jeszcze listów otrzymamy od **Janka z Transwału**, pisaliśmy do niego z prośbą o dalsze listy; siostrzyczkę twą **Chaberkę** uściśnij od życzliwej wam wszystkim

Jaskółki.

Od Redakcyi.

Z powodu wyjazdów na wakacje.

Prenumeratory nasi warszawscy, pragnący otrzymywać „Wieczory” w czasie wakacji w miejscu swego letniego pobytu, zechcą złożyć na koszt przesyłki poczt. po 10 kop. za każdy miesiąc. Prenumeratory zamiejscowi, zmieniający adres, zechcą nadać 14 kop. (można markami). Jednych i drugich prosimy o załączenie dokładnego adresu dawnego i nowego.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał III-ci i półroczu II-gie dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.